

# Krzysztof Jajko

Uniwersytet Łódzki

## Skrzynki, talerze i transformacja. Młodzińcze lata telewizji satelitarnej nad Wisłą

Telewizja satelitarna stała się faktem. Już podobno co piąty dom w kraju ma satelitarny talerz. W Warszawie na budynku przy Rondzie ONZ takich anten jest aż dwanaście. Ośrodek Badania Opinii Publicznej podaje, że 10 proc. gospodarstw domowych ma dostęp do zagranicznych programów, odbieranych drogą satelitarną. Przyjmując, że z jednego telewizora korzystają 2-3 osoby, można szacunkowo zakładać, iż satelitarna społeczność nad Wisłą liczy już 2-3 miliony stałych odbiorców.

[...] Bez przesady można już mówić o prawdziwej gorączce satelitarnej, która opanowała cały kraj. Kto może, stawia talerz na dachu, włącza na balkon, przytwierdza do ściany. W najgorszej sytuacji są mieszkańcy wieżowców pozbawionych balkonów. Oni mają jedyne wyjście – założenie wspólnej anteny i instalacji kablowej<sup>1</sup>.

Biorąc pod uwagę, iż tę wesołą nowinę redaktor Franciszek Skwierawski obwieścił czytelnikom „Rzeczpospolitej” w połowie 1991 roku, można by odnieść wrażenie, że początek historii telewizji satelitarnej w Polsce zbiega się w czasie z narodzinami III RP. Perspektywa taka jest niezwykle kusząca, pozwala bowiem na snucie bardzo chwytliwych paralel. Oto w ślad za wyzwoleniem politycznym idzie otwarcie naszego kraju na wszelkie dobrodziejstwa, jakie ma do zaoferowania kapitalistyczny raj, na czele z pluralistycznymi, niezależnymi mediami. W tym sensie zmiany w praktykach dnia codziennego stanowią pochodną szerszych procesów dziejowych, za których przebieg odpowiada stojąca na czele społeczeństwa wąska elita władzy.

Już w tym miejscu pozwolę sobie uciąć tego rodzaju publicystyczne z ducha dywagacje. Opisana tak barwnie przez Skwierawskiego satelitarna gorączka z począt-

<sup>1</sup> F. Skwierawski, *Satelitarna gorączka*, „Rzeczpospolita” 1991, 4-5 maja, s. 10.

ku lat 90. w żadnym wypadku nie uzasadnia stwierdzenia, że charakterystyczne białe talerze pojawiły się na tle polskiego nieba dopiero w III RP. Jak to często bywa z gorączką, także i ta satelitarna charakteryzowała się powolnym wzrostem temperatury. Zanim kreska na termometrze skoczyła bardzo wysoko w górę, już w latach 80. wystąpiło kilka satelitarnych stanów podgorączkowych. Problem w tym, że wówczas niezbyt uważnie śledzono owe wahania temperatury. A nawet jeżeli już ktoś sięgnął po termometr, to odczyt na nim był na tyle niski, że wstrzymywano się przed zbyt daleko idącą diagnozą. Jak często wykazywano, pewną grupkę obywateli nękało drobne satelitarne przeziębienie, z pewnością nie stał za tym jednak żaden złośliwy wirus stwarzający zagrożenie infekcji szerokich mas.

W artykule tym wcielę się w rolę bardziej dociekliwego diagnosty i przebadam dwa konkretne ośrodki zapalne satelitarnej gorączki: importerów sprzętu elektronicznego do odbioru TV SAT i producentów anten. Choć mam świadomość, że zaproponowana przeze mnie historia satelitarnej choroby nie obfituje w tak niespodziewane zwroty akcji, jak to się dzieje w serialu *Dr House*, to jednak wydaje mi się, iż czytelnik nie powinien doznać stanu znużenia lekturą. W dużej mierze jest to zasługą opisywanych przeze mnie nosicieli satelitarnego bakcyła. Każdy z nich stanowi dowód na to, że w schyłkowym PRL-u, który zazwyczaj kojarzony jest z powszechną apatią społeczeństwa uwięzionego w niemających końca sklepowych kolejkach, było miejsce na entuzjazm i chęć niesablonowego działania. Liczę na to, że – jak każdy dobry diagnosta – przede wszystkim nie zaszkodzę moim pacjentom i w oparciu o przeprowadzone z nimi wywiady opiszę ich dzieje jak najbardziej rzetelnie. Zanim jednak do tego dojdzie, na wstępie chciałbym nakreślić szerszy kontekst zjawiska, kładąc szczególny nacisk na kwestie techniczne i prawne.

### Telewizja z nieba

Nie ulega wątpliwości, że określenie „telewizja satelitarna” odnosi się do medium oraz towarzyszących mu praktyk odbiorczych, które wszystkim czytelnikom są dobrze znane (jeżeli nawet nie z własnego doświadczenia, to przynajmniej z opowieści innych). Ta swojskość „kosmicznej telewizji” w takim samym stopniu ułatwia, jak i utrudnia zadanie jej historykowi. Z jednej strony nie musi on – jak badacz archeologii mediów zajmujący się urządzeniami, które z różnych przyczyn nie weszły do powszechnego użytku – opisywać przedmiotu swych badań od podstaw. Z drugiej jednak strony, ponieważ pamięć medialna jest krótka i stare formy kontaktu z daną techniką szybko i niepostrzeżenie ustępują miejsca nowym instrukcjom, historia danego medium bardzo łatwo wpaść może w pułapkę ahistoryczności. Bez dwóch zdań opis fenomenu telewizji satelitarnej narażony jest na takie niebezpieczeństwo. Szczególnie jeżeli obszar badań (w sensie geograficznym oraz czasowym) zawężamy do Polski doby transformacji. Nie mam tu jednak na myśli transformacji w sensie zmiany ustrojowej i jej następstw, jak to się często zdarza w dyskursach naukowym i publicystycznym opisujących współczesną historię naszego kraju. Zdecydowanie bliższe jest mi szersze rozumienie terminu „trans-

formacja”, które proponuje Jacek Kurczewski. W jego ujęciu proces transformacji w Polsce rozpatrywać należy z perspektywy emancypacji dokonującej się w różnych obszarach naszego kraju. Oprócz emancypacji ustrojowej, można jego zdaniem wskazać także na emancypację o charakterze społecznym i gospodarczym. Takie szersze spojrzenie na proces transformacji wiedzie z kolei do zanegowania wygodnych podziałów na okres przed 4 czerwca (ewentualnie 12 września) 1989 roku i okres po tych datach. Jak pisze Kurczewski: „Zrozumienie terażniejszości dokonywane jest w trakcie nieustannej reinterpretacji przeszłości, a zatem, żeby zdać sobie z tego sprawę, nie można od przeszłości uciekać, ale – przeciwnie – traktować zmieniający się obraz przeszłości jako ruchomy punkt odniesienia w reinterpretacji terażniejszości”<sup>2</sup>. Zarysowana tu pokrótce metoda, która pod względem interpretacyjnego mechanizmu przypomina zasadę koła hermeneutycznego, jest niezwykle twórcza, pozwala bowiem na ukazanie zmian dokonujących się w naszym kraju jako pewnego kontinuum. Taki jest też zamysł tego artykułu. Chcę w nim dowieść, że w przeciwieństwie do polityki czy publicystyki, gdzie odcinanie pewnych okresów „grubą kreską” jest bardzo użyteczne, w badaniu historii mediów oraz związanych z nimi praktyk odbiorczych tego typu podejście absolutnie się nie sprawdza.

Gdyby trzymać się ściśle danych faktograficznych, to za początek dziejów telewizji satelitarnej nad Wisłą można by uznać rok 1975. To właśnie wtedy, na skutek przyłączenia Polski do międzynarodowej organizacji krajów socjalistycznych Intersputnik, w Psarach w Górach Świętokrzyskich rozpoczęła pracę naziemna stacja łączności satelitarnej. Od razu należy zaznaczyć, że w tamtych czasach niezależnie od tego, po której stronie żelaznej kurtyny eksploatowano sygnały z kosmosu, komunikacja satelitarna opierała się na tym samym schemacie działania. Podstawę łączności stanowiły satelity telekomunikacyjne służące głównie przekazywaniu rozmów telefonicznych, zaś programy telewizyjne transmitowano niejako przy okazji. Co jednak najważniejsze, transpondery umieszczone na satelitach telekomunikacyjnych posiadały bardzo małą moc (20 W), w związku z czym do odbioru sygnałów audiowizualnych konieczne było zastosowanie anten parabolicznych o ogromnej średnicy (pierwsza antena zainstalowana w Psarach liczyła 12,5 metra, druga – bagatela – 32 metry)<sup>3</sup>.

Te czysto techniczne ograniczenia powodowały, że przez długi czas telewizyjna łączność satelitarna sprowadzała się do komunikacji pomiędzy dużymi sieciami telewizyjnymi. W przypadku Polski dostęp do sygnału z kosmosu miał oczywiście monopolista w zakresie emisji programów telewizyjnych – Radiokomitet. A ponieważ instytucja ta, jak wszystkie inne (a może nawet bardziej), podlegała bezpośredniej kuratelii Partii, bez większej przesady stwierdzić można, iż monopol na telewizję satelitarną w PRL-u w pierwszych latach jej funkcjonowania posiadało państwo. To władza decydowała, które zagraniczne programy nadają się do roz-

<sup>2</sup> J. Kurczewski, *Ścieżki emancypacji. Osobista teoria transformacji ustrojowej w Polsce*, Warszawa 2009, s. 47.

<sup>3</sup> J. Dolecki, *Centrum łączności satelitarnej w Psarach*, „Audio-Video” 1985, nr 1, s. 10-11.

powszechniania w socjalistycznej Polsce, i za pośrednictwem sieci rozsiewczej Telewizji Polskiej retransmitowała je wciśnięte w ramówkę pierwszego lub drugiego programu. Przy okazji warto zauważyć, że Partia wykazywała się w tym względzie ogromnym cynizmem, o czym najlepiej świadczy wypowiedź wizytującego stację w Psarach w roku 1975 ministra łączności, Edwarda Kowalczyka: „[...] człowiek współczesny może być wolny dzięki dostępowi i korzystaniu z informacji”<sup>4</sup>. Oczywiście, czego przedstawiciel władzy nie dodał, była to wolność szczególnego rodzaju. Wszak obywatel mógł odbierać i korzystać tylko z tych informacji, które wcześniej wyselekcjonowało dla niego odpowiednie gremium ekspertów od poprawnego myślenia.

Ta praktyka reglamentacji dostępu do telewizji satelitarnej przetrwała do końca istnienia PRL-u. Najlepszym tego dowodem jest niezwykle popularny u schyłku lat 80., prowadzony przez redaktora Jerzego Klechę program *Bliżej świata*, w którym raczono polskich odbiorców wyimkami z telewizji zachodnich, między innymi teledyskami. Z zagranicznych materiałów audiowizualnych chętnie korzystały także redakcje informacyjne, na czele z *Panoramą*. Biorąc pod uwagę wszystkie wymienione powyżej fakty, wysnuć można tezę, iż w latach 70. i 80. dla dużej części Polaków oglądanie telewizji satelitarnej było równoznaczne z oglądaniem retransmitowanych przez TVP zachodnich materiałów audiowizualnych w ramach programów rodzimych. Telewizja satelitarna w warunkach państwa socjalistycznego stanowiła zatem całkowite wypaczenie idei przyświecającej upowszechnianiu telewizji satelitarnej na Zachodzie. O ile tam, poprzez obsługę sieci telewizji kablowej, nowe medium służyło gruntownemu poszerzeniu oferty programowej, o tyle w Polsce wykorzystywano je zaledwie w celu nieznacznego wzbogacenia własnej ramówki telewizyjnej, w oparciu o zasadę ścisłej selekcji niepoprawnych politycznie lub obyczajowo materiałów.

Nie oznacza to wszakże, że władza zachowała monopol na telewizję z nieba do ostatnich dni istnienia PRL-u. Otóż już na początku lat 80. pojawiły się na Zachodzie zestawy satelitarne umożliwiające przechwytywanie kosmicznego sygnału nadawanego przez satelity telekomunikacyjne i oglądanie go bez pośrednictwa sieci kablowych. W ten sposób na długo zanim nadawcy telewizyjni oficjalnie zdecydowali się na bezpośrednią transmisję programów do widzów prywatnych (DBS – *Direct Broadcasting Satellites*), w Europie możliwym stał się indywidualny odbiór telewizji satelitarnej. Podobnie jak w przypadku innych medialnych nowinek, wieść o *Free TV SAT* bardzo szybko zawędrowała nad Wisłę. Dużo wskazuje na to, że już na przełomie 1983/1984 roku do Polski pokątnie sprowadzać zaczęto pierwsze zestawy do odbioru telewizji satelitarnej. Wyposażone w anteny o średnicy 180 centymetrów bez problemu pozwalały na przechwytywanie sygnałów z zachodnich satelitów telekomunikacyjnych Eutelsat czy Intelsat. Tym samym w Polsce wykształcać zaczęła się właściwa dla telewizji satelitarnej postawa odbiorcza. Jej istota sprowadzała się do niczym nieskrępowanego wyboru spośród ogromnej ilości proponowanych przez nadawców treści. Od tego momentu w naszym kraju

<sup>4</sup> K. Michalewicz, *Ziemia, kosmos, ziemia. W stacji satelitarnej w Psarach*, „Studio” 1975, nr 5, s. 32.

odbiór sygnałów z kosmosu odbywa się zatem dwutorowo. Z jednej strony zdecydowana większość Polaków skazana jest na wybiórcze programy pokroju *Blżej świata*, z drugiej strony rosnąca z roku na rok garstka szczęśliwców karmi swe zmysły nieprzerwanym potokiem obrazów i dźwięków z Zachodu.

Opisana powyżej praktyka prywatnego importu odbiorników i anten TV SAT do Polski sprawiła, że – identycznie jak w przypadku innego, niezwykle popularnego wśród rodaków medium, a więc wideo – nastąpił czas satelitarnej anarchii. Władza w miarę szybko zreflektowała się jednak, iż nie może dopuścić do sytuacji, w której straci kontrolę nad kolejnym sektorem audiowizualnej komunikacji. Tym bardziej, że o ile technika wideo stanowiła domenę eskapistycznej rozrywki<sup>5</sup>, o tyle telewizja satelitarna groziła przedostaniem się do kraju za pośrednictwem zachodnich kanałów informacyjnych wywrotowych treści o charakterze czysto politycznym. Czarę goryczy przelała informacja, zgodnie z którą państwa zachodnie podjęły decyzję o zawieszeniu na europejskim niebie jeszcze do końca lat 80. satelitów DBS umożliwiających – dzięki transponderom o mocy 45 W – odbiór programów telewizyjnych nawet za pomocą anten o średnicy 60 centymetrów.

Dla Partii otwartym pozostawało tylko jedno pytanie: jak uporać się z tym niechcianym dzieckiem kosmicznej komunikacji? Świadectwem targających władzą rozterek jest wydana w roku 1987 przez Ministerstwo Obrony Narodowej książka *Gość czy intruz z kosmosu?*. Choć na prawie 200 stronach jej autorzy kluczową pomiędzy jedną a drugą z wymienionych w tytule opcji, ostateczna konkluzja wypływająca z tego elaboratu jest w miarę klarowna: na dzień dzisiejszy, kiedy telewizja rodzima nie jest w stanie zaproponować w miarę atrakcyjnej alternatywy dla eksplodujących żywymi kolorami i dźwiękami programów zachodnich, należy przystąpić do kontrofensywy o charakterze pozaartystycznym. Taka konfrontacyjna postawa jest w pełni uzasadniona, gdyż, jak dowodzą autorzy publikacji, co do „ewidentnego zainteresowania zachodnich ośrodków propagandowych systemem DBS z zamiarem wykorzystania go w walce ideologicznej przeciwko społeczeństwom państw o odmiennych ustrojach, neutralnych, a nawet zaprzyjaźnionych – nie mamy wątpliwości”<sup>6</sup>.

Trudno ustalić, kiedy dokładnie powyższe słowa przelano na papier. Uwzględniając jednak cykl wydawniczy, można zakładać, że do tego natchnionego procesu twórczej kreacji doszło na początku 1986 roku. Mniej więcej w tym samym czasie, bo 20 lutego, Minister Łączności wydał słynne rozporządzenie regulujące prawo do

<sup>5</sup> Wyjątek od tej reguły stanowiły wydawane w drugim obiegu kasety wideo, na których rozpowszechniano zakazane treści o tematyce politycznej. Taką pozakiniową dystrybucję zorganizowano chociażby dla głośnego półkownika *Przesłuchanie*. Przeprowadzone w ramach projektu Nowe Media PRL wywiady z członkami Śląskiego Klubu Fantastyki wskazują, że nielegalne pokazy tego filmu odbywały się nie tylko w środowiskach opozycyjnych, ale także wśród niezaangażowanych w politykę fanów science fiction. Fakt ten wskazuje, iż kasety z wywrotowymi treściami mogły docierać do sporej części społeczeństwa. Jednak biorąc pod uwagę niewielką liczbę tytułów, które wydano w drugim obiegu, skala zjawiska z pewnością była dożo mniejsza aniżeli w przypadku „pirackiej” dystrybucji rozrywkowych filmów z Zachodu.

<sup>6</sup> A. Fryszkiewicz, M. Grabski, J. Sarosiek, *Gość czy intruz z kosmosu?*, Warszawa 1987, s. 71.

posiadania „odbiorników innych niż powszechnego użytku”. Tę bezprecedensową decyzję resortu w taki sposób na łamach „Polityki” tłumaczył Janusz Fajkowski, dyrektor Departamentu Służby Radiokomunikacyjnej w Ministerstwie Łączności: „Żadnemu państwu nie jest obojętna sprawa odbioru obcych systemów satelitar-nych. Nie można też tego puścić na żywioł. Jak wyglądałyby nasze dachy, gdyby każdy instalował sobie indywidualną antenę? Jakiś ład przestrzenny w krajobrazie musi zostać zachowany. Poza tym jest jeszcze kwestia formalna i prawna, a przede wszystkim – opłat za korzystanie z obcych systemów satelitarnych”<sup>7</sup>. Jak większość wypowiedzi przedstawicieli władzy, także i tę cechował wysoki stopień hipokryzji. Konieczność wprowadzenia zezwoleń na posiadanie i używanie telewizji satelitarnej uzasadniano bowiem, wskazując na problemy, o które tak naprawdę nikt nie dbał.

Zgodnie z postanowieniami ministerialnego rozporządzenia każdy obywatel, któremu zamarzyło się posiadanie telewizji satelitarnej, oprócz dysponowania kiesz- wypelnioną po brzegi dewizami (cena zestawu TV SAT w połowie lat 80. sięgała 1500 dolarów)<sup>8</sup>, musiał uzyskać także zezwolenie na zakup oraz dalsze używanie nowego medium. Ponieważ jednak szczegółowych zasad przyznawania zezwoleń nie ustalono od razu, odpowiedzialna za ich przydział Państwowa Inspekcja Ra- diowa (PIR) wstrzymywała się z jakąkolwiek decyzją do marca 1987 roku. Formal- nie zatem przez ponad rok legalne posiadanie oraz używanie telewizji satelitarnej w Polsce było niemożliwe. Ustawa zabraniała bowiem samowolnej instalacji anten oraz odbiorników TV SAT, a nikt (poza Radiokomitetem) nie mógł liczyć na wy- stawienie mu wymaganego zezwolenia.

W ciągu tego roku satelitarnej prohibicji w okręgowych wydziałach PIR złożo- no w sumie 260 wniosków<sup>9</sup>. Liczba ta – w porównaniu z liczbą osób, które w tym samym czasie były szczęśliwymi posiadaczami magnetowidów – nie przedstawia się zbyt imponująco<sup>10</sup>. Bez wątpienia czynnikami hamującymi masowy dostęp do telewizji satelitarnej były wysoki koszt komponentów elektronicznych i proble- my, jakich nastręczały w szmuglu anteny o średnicy 180 centymetrów. Być może wpływ na ograniczenie liczby wniosków miała również wypowiedź przedstawiciela ministerstwa wskazująca na to, że zezwolenia planowano wydawać przede wszyst- kim instytucjom i osobom, którym są one potrzebne, na przykład z racji wykony- wanej pracy, a więc dziennikarzom, badaczom kultury masowej czy producentom sprzętu telewizyjnego<sup>11</sup>.

Władza – widząc, że skala satelitarnego szaleństwa nie jest zbyt duża – odzy- skała rezon i ostatecznie zgodziła się na wydanie wnioskodawcom odpowiednich

<sup>7</sup> M. Henzler, *U wrót satelitarnego rajy*, „Polityka” 1986, 3 maja, s. 12.

<sup>8</sup> Warto przypomnieć, że na początku 1987 roku na czarnym rynku jednego dolara można było nabyć za 970 złotych (zob. *co - gdzie-za ile?*, „Top” 1987, nr 1, s. 7). Natomiast przeciętne wynagrodzenie w tym samym czasie wahało się w granicach 30 tysięcy złotych.

<sup>9</sup> J. Mojkowski, *Świat w talerzu*, „Polityka” 1987, dodatek „Polityka-Eksport-Import”, nr 6, s. 8.

<sup>10</sup> W 1987 roku liczbę wszystkich magnetowidów w Polsce szacowano na około 600 tysięcy. Zob. K. T. Toeplitz, *My i nasz system*, „Polityka” 1987, 20 czerwca, s. 1, 7.

<sup>11</sup> M. Henzler, dz. cyt.

zezwoleń. Zasadniczo nie zmieniało to jednak faktu, że dostęp do telewizji satelitarnej nadal obciążony był licznymi trudnościami, na czele z restrykcjami o charakterze czysto urzędowym. Należy bowiem pamiętać, że zanim PIR wydał pozytywną decyzję, każdy wniosek opiniował odpowiedni dla danego okręgu Urząd Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Oczywiście do spełnienia była jeszcze cała masa formalności. Każdy wnioskodawca musiał wypełnić liczne druki (osobno występowało się o zezwolenie na zakup zestawu TV SAT, a osobno o możliwość jego używania) oraz uiścić odpowiednie opłaty skarbowe<sup>12</sup>.

Te niewątpliwie spowalniające ekspansję telewizji satelitarnej nad Wisłą urzędowe procedury szybko stały się przedmiotem ataków co bardziej postępowych publicystów, szczególnie tych skupionych wokół „Polityki”. Największym wojownikiem o wolność dostępu do kosmicznej komunikacji okazał się Krzysztof Teodor Toeplitz, któremu nie przeszkadzało to jednocześnie popierać jedynej słusznej polityki Wojciecha Jaruzelskiego. Owa dość ekwilibrystyczna postawa jednego z kluczowych piór schyłkowego PRL-u każe zresztą podejrzewać, iż cała ta publicystyczna batalia o satelitarną abolicję była z góry ustawiona. W każdym razie Toeplitz w swych licznych artykułach, oburzając się głównie na absurdury urzędniczej maszyny, dobitnie wskazywał na konieczność odrzucenia, jak to ujmował, „postawy separatystycznej”<sup>13</sup>. Zdaniem publicysty, na skutek dokonującej się właśnie rewolucji medialnej definitywnie kończą się czasy monopolu jakiegokolwiek władzy na informację. Aby nadać swym rozważaniom odpowiednią rangę, Toeplitz sięga po autorytet z najwyższej politycznej półki. Jak czytamy: „Ten proces, wywołany przez technikę, zbiega się w niezwykle szczęśliwy sposób z okresem przemiany myślowej wywołanej w naszym obozie przez gorbaczowskie hasło »jawności«. Oznacza ono w istocie odejście od prób konstruowania rzeczywistości »słusznej«, na rzecz rzeczywistości prawdziwej oraz ambicję przestawienia systemu informacyjnego z modelu restrykcyjnego, polegającego na tłumieniu informacji niekorzystnych lub niepomyślnych na model polemiczny, to znaczy konfrontujący racje przy poszanowaniu dla podstawowej materii informacyjnej, traktowanej jako jawna”<sup>14</sup>. Nie ulega wątpliwości, iż w tym ustępie Toeplitz wykazał się sporym darem egzegetycznym. Z pewnością nikt nie mógłby mu postawić zarzutu nadinterpretacji, skoro Michaił Gorbaczow już na pierwszej stronie swojej książki-manifestu *Przebudowa i nowe myślenie*, odnosząc się do kwestii stosunków międzynarodowych, pisze: „Powinniśmy obcować ze sobą, powinniśmy rozwiązywać problemy w duchu współpracy, a nie wrogości”<sup>15</sup>. Zdecydowanie mniej finezyjnie, ale ze zdecydowanie większym zapamięaniem niżeli Toeplitz, wolności dostępu do telewizji satelitarnej domagał również na łamach „Polityki” Jacek Mojkowski. Jak pisze w artykule z marca 1987 roku: „Tłumaczyć się pod koniec wieku w urzędzie, dlaczego chce się oglądać telewizję, to jednak jakaś bzdura”<sup>16</sup>.

<sup>12</sup> J. Machejek, *Odmówić, odmówić, odmówić...?*, „TV SAT Magazyn” 1989, nr 1, s. 7.

<sup>13</sup> K. T. Toeplitz, dz. cyt.

<sup>14</sup> Tamże.

<sup>15</sup> M. Gorbaczow, *Przebudowa i nowe myślenie. Dla naszego kraju i dla całego świata*, tłum. A. Kurkus, J. Malczyk, H. Mirska-Lasota, I. Zakrzewski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988, s. 5.

<sup>16</sup> J. Mojkowski, dz. cyt.

Na przetarte przez publicystów prasowych szlaki w ostatnich miesiącach istnienia PRL-u wkroczyła władza. Dnia 13 lutego 1989 roku Minister Transportu, Żeglugi i Łączności wydał rozporządzenie, które praktycznie zniosło wszystkie dotychczasowe ograniczenia w dostępie do telewizji satelitarnej. Odtąd każdy, kto chciał odbierać telewizyjne programy z kosmosu, musiał wyłącznie zarejestrować swój odbiornik u naczelnika właściwego urzędu pocztowo-telekomunikacyjnego. I tym razem nie obyło się jednak bez pewnych komplikacji. Choć rozporządzenie weszło w życie na początku marca, Inspekcja Generalna PIR wysłała do wszystkich podległych sobie jednostek telex, w którym zaleciła przekazywanie uprawnień i spraw związanych z rejestracją Okręgowym Dyrekcjom Poczty, Telefonu i Telegrafu od 1 do 30 kwietnia<sup>17</sup>. W rezultacie trudno dziś wskazać konkretną datę, od której w Polsce zaczyna się era wolnego dostępu do telewizji satelitarnej.

Wydaje się, że ta zmiana podejścia władzy do telewizji z nieba wynikała w dużej mierze z wypracowania w ramach RWPG planu satelitarnej kontrofensywy. Zgodnie z ustaleniami, które poczyniono już w roku 1987, w latach 1990-1992 na orbicie geostacjonarnej pojawić się miały pierwsze socjalistyczne satelity radiodyfuzyjne, w latach 1990-1993 planowano budowę szeregu naziemnych stacji nadawczych między innymi w Polsce, Rumunii oraz Czechosłowacji, zaś do roku 1992 do powszechnej sprzedaży wprowadzone miały zostać urządzenia odbiorcze TV SAT do użytku indywidualnego<sup>18</sup>. Te dalekosiężne plany zniweczył oczywiście nagły rozpad bloku sowieckiego w drugiej połowie 1989 roku. Z drugiej strony, znając słabości socjalistycznej gospodarki planowej, można przypuszczać, iż w rzeczywistości satelitarna kontrofensywa państw RWPG ciągnęłaby się zdecydowanie dłużej, aniżeli założono w oficjalnie ogłoszonym harmonogramie prac.

Jak zatem widzimy, proces upowszechniania telewizji satelitarnej w Polsce przebiegał wielotorowo, na co wpływ miały w równym stopniu czynniki techniczne, jak i polityczne oraz legislacyjne. Z pewnością poważnym nadużyciem byłoby stwierdzenie, iż do wybuchu satelitarnej gorączki przyczyniły się zmiany ustrojowe. Wszak już od kwietnia 1989 roku znikają wszelkie restrykcje związane z posiadaniem i używaniem zestawów do odbioru TV SAT. Co więcej, na lata 1983/84-1986 przypada okres satelitarnej anarchii, kiedy to co bardziej przedsiębiorczy Polacy pokątnie zaopatrują się w nieobjęte prawnymi regulacjami odbiorniki i anteny. Jak będę się starał wykazać w dalszej części artykułu, wymienione powyżej czynniki spowodowały, że na długo zanim w Polsce doszło do ustrojowej transformacji, rynek telewizji satelitarnej był już w pełni ukształtowany, zarówno w zakresie handlu urządzeniami odbiorczymi, produkcji anten, jak i usług związanych z ich instalacją.

<sup>17</sup> MAJ, *Wolno, wolno, wolno*, „TV SAT Magazyn” 1989, nr 2, s. 6.

<sup>18</sup> A. Jamiłowski, *Program z satelity*, „Pan” 1987, nr 1, s. 46, 60.



## Importerzy

Problem indywidualnego odbioru telewizji satelitarnej w PRL-u wypłynął na forum publicznym w momencie, gdy światło dzienne ujrzało rozporządzenie Ministra Łączności z roku 1986. Natomiast, o czym była mowa wcześniej, pierwsze zestawy odbiorcze TV SAT pojawiły się nad Wisłą prawdopodobnie już na przełomie lat 1983/1984. Przez ponad dwa lata posiadanie telewizji satelitarnej w socjalistycznej Polsce stanowiło zatem domenę sfery prywatnej. Ten zupełny brak zainteresowania pierwszym satelitarnym stanem podgorączkowym ze strony czynników oficjalnych (takich jak chociażby prasa) powoduje, że opis wczesnych lat ekspansji nowego medium w PRL-u jest dość utrudniony. W zasadzie bazować można w tym względzie wyłącznie na wywiadach ze świadkami historii. Poniżej postaram się opisać pierwsze lata telewizji satelitarnej nad Wisłą w oparciu o relację Marka Czajkowskiego, który pierwsze zestawy TV SAT zaczął sprowadzać do Polski tuż po zakończeniu stanu wojennego<sup>19</sup>. Ponieważ jednak w latach 80. proceder tak zwanego prywatnego importu rozkwitł na niespotykaną wcześniej skalę, niemożliwym jest ustalenie, kto pierwszy przemycił do Polski zestaw do odbioru TV SAT, ani też ile w sumie takich urządzeń przywieziono do naszego kraju przed rokiem 1986.

W przypadku Marka Czajkowskiego pomysł na sprowadzanie odbiorników satelitarnych za żelazną kurtynę od początku wykraczał poza wąskie ramy importu prywatnego. Jeszcze w czasie stanu wojennego razem ze swym przyjacielem, polonusem mieszkającym na stałe w Szwecji, postanowił założyć w Skandynawii prywatną firmę o nazwie Porion. Pierwotnie miała się ona zajmować importem różnego rodzaju urządzeń, sprzętu, a nawet mebli z Polski do Szwecji. Wstępne plany szybko uległy jednak zmianie i w kolejnych latach spółka specjalizowała się już wyłącznie w imporcie anten i odbiorników satelitarnych, ale w przeciwnym kierunku:

To był przypadek. Ten mój wspólnik poszedł na takie targi elektroniczne w Sztokholmie. I na tych targach po raz pierwszy [zobaczył telewizję satelitarną]<sup>20</sup>. Bo w Szwecji to też była nowość. W Ameryce to się wcześniej pokazało. I on tam na tych targach w Szwecji mówi: „A jest tam taka firma, [która] wystawia anteny satelitarne, i może by coś z tym zrobić. Mi się to bardzo spodobało. Następnego dnia przyjechałem do Sztokholmu, kupiłem trzy anteny satelitarne, wszystkie, jakie na tej wystawie były. Pamiętam, zapłaciłem chyba z 10 tysięcy dolarów za to wszystko. To były wtedy ogromne pieniądze. Za 10 tysięcy dolarów to można było kupić sześć Fiatów 125p. I te anteny sprowadziłem do Polski.

<sup>19</sup> Przeprowadzony przez autora artykułu wywiad zarejestrowany został dnia 16 września 2015 roku w Warszawie i znajduje się w zbiorach projektu badawczego Nowe Media PRL, który realizowany jest w Instytucie Kultury Współczesnej UŁ (podobnie rzecz ma się ze wszystkimi innymi wywiadami przywoływanymi w tym tekście).

<sup>20</sup> Fragmenty wypowiedzi w kwadratowych nawiasach dodałem w trakcie redakcji wywiadu, aby dostosować formę relacji mówionej do wymogów tekstu pisanego.

Jak dalej wykazuje Marek Czajkowski, wwóz do Polski sprzętu do odbioru telewizji satelitarnej nie stanowił większego problemu, ponieważ w pierwszej połowie lat 80. nikt, łącznie z celnikami, nie wiedział, do czego te urządzenia właściwie służą. Powodzeniu całej operacji sprzyjał także fakt, iż kupione na targach w Sztokholmie anteny miały specyficzną budowę. Czasze nie były wykonane z litego materiału, ale z siatki. Jednak to, co ułatwiło przewóz sprzętu przez granicę, szybko okazało się poważnym problemem:

Jak te anteny przywieźliśmy do Polski, to próbowaliśmy przez trzy miesiące odebrać jakiś sygnał na tych antenach, ale się okazało, że się nie da. I nie było takiej możliwości. Bo po pierwsze Polska była w takim zasięgu [satelitów], że to nie działało. A po drugie te anteny miały inną częstotliwość tych konwerterów.

Wyraźnie niezrażony całą przygodą Czajkowski z miejsca podjął działania mające na celu zapoznanie się z nowym medium i ustalenie, jakie parametry techniczne muszą mieć urządzenia, aby działały w Polsce. Świadek tak oto kwituje ten okres poszukiwań: „Była to wspaniała przygoda. Z pół roku to trwało, zanim to wszystko rozszyfrowaliśmy”.

Gdy już ustalono, jakie odbiorniki (tak zwane skrzynki) i anteny nadają się do odbioru telewizji satelitarnej nad Wisłą, Czajkowski sprowadził sobie pierwszy zestaw do własnego użytku. Oczywiście TV SAT, w przeciwieństwie do wideo, było medium, którego posiadanie trudno było ukryć, ze względu na konieczność instalacji dużych rozmiarów anteny parabolicznej (w Polsce dobrą jakość sygnału gwarantowały w latach 80. anteny o średnicy od 180 centymetrów wzwyż):

Ja mieszkałem wtedy na szóstym piętrze i postawiłem tę antenę na dachu. Nikogo się nie pytałem o zgodę, tylko sobie ją postawiłem. I w sąsiednim [bloku] mieszkał komendant milicji. I oczywiście się zainteresowali, co to jest. Skąd to się wzięło i dlaczego to ma tak być. I potem doszły do mnie takie plotki, że to podobno ja jestem jakiś wysoki funkcjonariusz i to jest jakaś specjalna satelita do odbioru specjalnych danych. Nawet nie wiedzieli, że to jest telewizja. I [powiedzieli]: „Nie ruszać tej sprawy”.

Ustalenie, czy organa podlegające Ministerstwu Spraw Wewnętrznych rzeczywiście zignorowały sprawę samowolnej instalacji przez Czajkowskiego anteny satelitarnej, wykracza poza przyjęte w tym artykule cele i wymaga gruntownych badań, chociażby w archiwach IPN. Nie ulega jednak wątpliwości, że w pierwszych latach problem telewizji satelitarnej dla władzy w zasadzie nie istniał. Świadczy o tym najdobitniej fakt, iż rozporządzenie Ministra Łączności datuje się dopiero na początek 1986 roku. Także z relacji Czajkowskiego wynika, że przez długi czas mógł on prowadzić swoją działalność bez większych przeszkód. Co więcej, nieuregulowany w żaden sposób status telewizji satelitarnej działał na korzyść całego przedsięwzięcia:

Ten sprzęt, jak się przewoziło przez granicę, to można było powiedzieć, że to jest odbiornik do odbioru telewizji satelitarnej. Bo to nie było w taryfie celnej. Bo wtedy nikt sobie nie wyobrażał, że coś takiego może być. To się nie mieściło w żadnych przepisach, tak jakoś szczęśliwie. W związku z tym stawka celna była zero. Bez problemu się to przewoziło. Nawet nie trzeba było tego chować i oszukiwać.

Warto w tym miejscu zauważyć, że sam świadek próbuje przedstawić własną interpretację tej dziwnej, defensywnej postawy władzy:

To było śmieszne, bo to był przecież nielegal. Przecież czasy komuny były. Ale ponieważ władza miała już wtedy kłopoty... Dowiedziałem się, że w Komitecie Centralnym była ta sprawa postawiona. Ale towarzysze machnęli: „Nie, to niewarte zwracania sobie tym głowy. Tutaj ludzie nie mają co jeść, tu podwyżki są żarcia, a my się tu jakimiś antenami dla miliarderów zajmujemy”.

Oczywiście w tym wytłumaczeniu jest sporo racji, z drugiej jednak strony wydaje się, że przymknięcie przez władzę oka na pokątny import zestawów do odbioru TV SAT wynikało z ogólnej słabości systemu socjalistycznego w dostosowywaniu się do ciągle zmieniających się warunków (zarówno tych wewnętrznych, jak i zewnętrznych). Przecież w roku 1983 czy 1984 w gospodarce planowej PRL-u nie można było uwzględnić takiego fenomenu jak telewizja satelitarna indywidualnego odbioru, bo podstawowe wytyczne dla rozwoju gospodarczego na kolejne lata tworzone w momencie, gdy nowe medium jeszcze nie funkcjonowało. Pamiętajmy także o tym, że oficjalnie przyjęty przez grupę RWPG plan rozwoju socjalistycznej telewizji satelitarnej dla państw Europy Środkowej przypadał dopiero na lata 1990-1993.

Nie ulega wątpliwości, że fakt tego immanentnie wpisanego w gospodarkę socjalistyczną „planowego poślizgu” był niezwykle korzystny dla firm takich jak Porion. Choć na lata 80. przypada w Polsce okres gruntownych reform gospodarczych, mających na celu „urealnienie” systemu i jego liberalizację w sensie ekonomicznym, to jednak nadal niepodważalnym pozostaje dogmat o hamowaniu konkurencji, jaką dla firm państwowych mógłby rodzić coraz bardziej prężny sektor prywatny. Do roku 1989 absolutnie niewyobrażalną była sytuacja, w której jakiś rzemieślnik czy też spółdzielnia rzemieślnicza wytwarza więcej produktów danej kategorii aniżeli specjalizujący się w ich produkcji mołoch państwowy. Podobnie rzecz miała się z handlem i wszelkiego rodzaju usługami. A zatem jedynym obszarem, gdzie „prywaciarze” mogli się wykazać, były gospodarcze luki wynikające ze zbyt powolnego mechanizmu aktualizacji harmonogramu rozwoju państwa<sup>21</sup>.

Po tym, gdy Marek Czajkowski zainstalował antenę satelitarną w swoim bloku, a następnie za pomocą sieci AZART udostępnił programy sąsiadom, o jego firmie

<sup>21</sup> Por. D.T. Grala, *Reformy gospodarcze w PRL (1982-1989). Próba uratowania socjalizmu*, Warszawa 2005, s. 260, 268-269.

zaczęło robić się głośno. Automatycznie pojawili się też pierwsi klienci złaknieni sygnału z kosmosu. Rekrutowali się oni zasadniczo z dwóch kręgów społecznych:

Byli ludzie biznesu, ale tego prywatnego biznesu. Byli artyści: aktorzy, muzycy. Do nas często przyjeżdżał Krajewski. Bo tam były programy muzyczne na satelicie. Głównie byli [jednak] ludzie z prywatnego biznesu. To byli ludzie, którzy w tamtych warunkach komunistycznych prowadzili jakieś drobne przedsiębiorstwa i stać ich było na to, żeby sobie kupić antenę za dwa tysiące dolarów.

W tej wypowiedzi uderza przede wszystkim fakt, iż rynek telewizji satelitarnej w Polsce w okresie 1983/84-1986/87 był rynkiem całkowicie zamkniętym. Mówiąc krótko, polegał on na tym, że „prywaciarze” sprowadzali niedostępny w kraju sprzęt innym „prywaciarzom”. Oczywiście sytuacja ta stanowiła odzwierciedlenie szerszych procesów społecznych. Ponieważ na lata 80. przypada szczytowy okres niedoboru na wszelkie dobra konsumpcyjne oferowane w oficjalnym obiegu, ci, którzy na skutek prywatnej aktywności gospodarczej posiadali jakąkolwiek nadwyżkę pieniędzy, niejako zmuszeni byli do innych form inwestowania wytworzonego przez siebie kapitału. Jak wykazuje Jerzy Kochanowski, nieuspołeczniiona działalność „dawała duże, często nieopodatkowane i niewykazane dochody, lokowane w jak najbardziej czarnorynkowych dewizach i złocie, lub skłaniała do rozwijania technik przemysłowych, dostarczających zarówno wyżej wspomniane przedmioty tezauryzacyjne, jak i nieosiągalne na oficjalnym rynku artykuły luksusowe”<sup>22</sup>.

Owo zawężenie grupy docelowych klientów na zestawy TV SAT do kręgu „prywaciarzy” rodziło też pewne korzyści z punktu widzenia marketingowego. Ponieważ działający w sektorze nieuspołecznionym przedsiębiorcy stanowili dość zwartą, połączoną bliskimi relacjami osobistymi społeczność, wieść o nowym medium niosła się tu bez konieczności zastosowania jakiejkolwiek reklamy. Było to o tyle istotne, że przed rokiem 1987, kiedy powstało pierwsze specjalizujące się w publikacji ofert reklamowych czasopismo „Top”, informacji o prowadzeniu sprzedaży zestawów do odbioru TV SAT nie można było w zasadzie ogłosić na forum publicznym:

To była poczta pantoflowa. To jeden drugiemu sobie przekazywał. Na tą antenę satelitarną to trzeba było mieć parę złotych, w związku z czym kupowali to ludzie zamożni na tamte czasy. I jak ktoś sobie taką telewizję zainstalował i jak zaprosił gości, jak oni zobaczyli, co on ma, to było pięciu kolejnych klientów. Tych pięciu klientów dawało kolejnych pięciu klientów. Także to się odbywało taką pocztą pantoflową.

O skuteczności tej oddolnej reklamy niech świadczy fakt, iż bardzo szybko firma Porion zaczęła sprzedawać średnio 10-15 zestawów TV SAT miesięcznie. W skali roku do rąk prywatnych trafiało zatem około 100 odbiorników i anten. Je-

<sup>22</sup> J. Kochanowski, *Tylnymi drzwiami. „Czarny rynek” w Polsce 1944-1989*, Warszawa 2015, s. 20.

żeli przypomnimy sobie, że do PIR-u w latach 1986-1987 wpłynęło 260 wniosków o zezwolenie na odbiór telewizji satelitarnej, można założyć, że w dużej mierze występowali z nimi klienci firmy Porion.

Oczywiście nie trzeba dodawać, że handel sprzętem TV SAT odbywał się na szczególnych warunkach. Ponieważ komponenty elektroniczne były poza zasięgiem socjalistycznej myśli technicznej, w grę wchodził wyłącznie import z krajów zachodnich. W rezultacie w satelitarnych transakcjach złotówka traciła jakąkolwiek wartość. Aby posiadać zestaw do odbioru TV SAT, należało dysponować walutą wymierną. Co więcej, trzeba było zgromadzić jej sporo, zwłaszcza jeżeli pragnęło się kupić naprawdę dobry sprzęt, taki jak na przykład stanowiącą podstawę oferty firmy Porion japońską aparaturę MASPRO:

Ona miała tylko jeden feler: była droga. Wiadomo, że wszystko, co japońskie, jest zdecydowanie droższe. I taki typowy zestaw MASPRO to mógł kosztować nawet pod dwa tysiące dolarów. To były wtedy duże pieniądze. Dzisiaj to się coś takiego za darmo dostaje.

Tak wysokie koszty luksusu pod tytułem telewizja satelitarna nikogo (oczywiście spośród tych, którzy posiadali dewizy) nie zrażały. Wokół nowego medium wytworzył się bowiem niezwykle stan społecznej ekscytacji:

To był taki entuzjazm wtedy. Entuzjazm polegał na tym, że nagle był dostęp do informacji ze świata. Bo przecież była „Trybuna Ludu”, „Życie Warszawy” i pierwszy i drugi program telewizji.

Ten entuzjazm przyciągał do firmy Porion nie tylko „prywaciarzy”. Bardzo szybko u jej drzwi pojawili się pasjonaci nowych technik medialnych z całej Polski. Ich celem było jednak nie tylko wejście w posiadanie zestawu do odbioru TV SAT, ale przede wszystkim upowszechnianie telewizji satelitarnej również poza Warszawą. Czajkowski szybko zorientował się, że można wykorzystać potencjał medialnych pasjonatów, czyniąc z nich instalatorów telewizji satelitarnej. Dlatego szybko rozpoczął szkolenia pozwalające przyszłym monterom zapoznać się z podstawowymi kwestiami technicznymi TV SAT:

Myśmy się instalacją nie zajmowali jako firma. Natomiast myśmy szkolili ludzi zainteresowanych telewizją satelitarną z całej Polski. Zaczęli do nas przyjeżdżać tacy, którzy chcieli się tym zająć. Nie mieli dostępu do anten, nie mieli dostępu do sprzętu, nawet kabla koncentrycznego nie było. W związku z tym oni do nas przyjeżdżali i myśmy ich szkolili. Korzyść była taka, że oni instalowali te anteny, a myśmy te anteny za ich pośrednictwem sprzedawali.

Oni zarabiali na instalacji. Mieli też prowizję, jeżeli sprowadzili jakiegos nowego klienta.

Ci pierwsi „profesjonalni” instalatorzy w Polsce pochodzili z różnych miast, między innymi z Krakowa, Gdańska, Turku czy Łodzi. Wśród nich był także

mieszkający w Mielcu Jerzy Lubacz. Śledząc jego działalność na terenie południowej Polski, trzeba przyznać, że Czajkowski miał dobre przeczucia co do tkwiącego w medialnych pasjonatach potencjału. Oto kilka wypowiedzi Jerzego Lubacza obrazujących, na jak szeroką skalę prowadził on działalność u schyłku lat 80. i w jak dużym stopniu jego kolejne posunięcia przyczyniały się do upowszechniania wiedzy o telewizji satelitarnej wśród Polaków:

Chciałem z tą firmą [Porion] nadal współpracować, żeby się rozwijać i brać od nich ten sprzęt i montować dla ludzi. Trudny jest start w tej dziedzinie, jak nikt nic nie wie. Więc powstał u mnie pomysł, żeby podłączyć tutaj bloki. No i pomógł mi kolega z serwisu, który zajmował się AZAR-T-em [...]. I przygotowaliśmy wkładki na osobny kanał specjalny. I w to podłączaliśmy najpierw jeden program, a później zakupiłem drugi sprzęt i podłączyłem drugi program. I podłączyłem po kolei sześć bloków.

[...]

Żeby rozpropagować cały ten... po zakupie tej anteny satelitarnej i po tym eksperymencie to tutaj robiłem tak zwane pokazy. Pokazy sprzętu satelitarnego i jego odbioru. Pokazywałem w Domu Kultury w Tarnowie w Azotach, w Rzeszowie i w Boguchwale [...]. I po tych pokazach natychmiast pojawiły się zamówienia. Pierwsze zamówienia, jakie miałem, to miałem montaż w Poznaniu – firma zagraniczna zamówiła. Dzięki gazecie ktoś tu do mnie dotarł. [...] Później robiłem i w Krakowie, i w Brzesku, i Tarnowie. To już potem tego było bardzo dużo. [...] Przyjeżdżało tu [również] masę ludzi do mnie do domu oglądać to<sup>23</sup>.

W celu przedstawienia jak najbardziej pełnego obrazu zjawiska, warto także dodać, że ponieważ monopol na handel zagraniczny w PRL-u posiadały wyłącznie spółki państwowe, szwedzka firma Porion musiała korzystać z pośrednictwa partnera krajowego. Oto co na ten temat mówi Czajkowski:

Robiliśmy to za pośrednictwem firmy, która się nazywała Labimex. To była Centrala Handlu Zagranicznego Labimex. Ale to było krótko i potem machnęliśmy na to ręką. Oni musieli być tak zwanym obowiązkowym pośrednikiem.

Zysk takiego państwowego kooperanta kształtował się na poziomie od pięciu do siedmiu procent całej wartości handlowej operacji. Z punktu widzenia firmy Porion była to bez wątpienia stawka niezwykle korzystna, w związku z czym nie musiała się ona uciekać do jakichkolwiek nielegalnych form przemytu sprzętu przez granicę.

Z biegiem lat sytuacja na rynku telewizji satelitarnej w Polsce uległa wyraźnej dynamizacji. Oprócz firmy Porion pojawili się kolejni dostawcy zestawów do od-

<sup>23</sup> Przeprowadzony przez autora artykułu wywiad zarejestrowany został dnia 3 marca 2015 roku w Mielcu.

bioru TV SAT. W roku 1988 na łamach czasopisma „Top” autor artykułu poświęconego telewizji satelitarnej nad Wisłą wymienia następujące spółki: SATELIT, PULSON, VIKOR czy SERVISCO<sup>24</sup>. Śledząc w tej samej gazecie kolumny z reklamami, można zauważyć, że w kolejnych latach do tej wciąż jednak wąskiej elity dołączały kolejne podmioty. Warto w tym miejscu wymienić chociażby działającą w Warszawie firmę ARCON, pochodzącą z Gdańska spółkę DIGITAL czy też urzędującą w Zielonej Górze firmę ROMATEC. Sytuacja wszystkich wymienionych tu importerów „drugiej fali” była o niebo lepsza aniżeli pionierów w rodzaju firmy Porion. Przede wszystkim mogli oni liczyć na dodatkowy kanał komunikacji z klientami, jakim była prasa. Oprócz wspomnianego czasopisma „Top” już na początku roku 1989 w kioskach pojawił się wydawany w Łodzi miesięcznik „TV SAT Magazyn”. O czym dobitnie świadczy jego tytuł, był on poświęcony wyłącznie telewizji satelitarnej, celując w jej dotychczasowych odbiorców i osoby planujące zakup satelitarnego sprzętu.

Nowo powstające firmy od początku korzystały także z doświadczeń organizacyjnych spółki Porion, stosując model biznesowy polegający na tworzeniu w terenie filii zajmujących się instalacją i sprzedażą sprzętu. Jak wynika z reklam drukowanych w czasopiśmie „TV SAT Magazyn” w roku 1991, firma DIGITAL dysponowała na terenie całego kraju 14 filiami, zaś spółka ROMATEC miała aż 43 ekspozytury. Jedną z nich stanowiła firma Jerzego Lubacza.

W świetle powyższych danych nie dziwi fakt, że do zdecydowanego podwyższenia satelitarnej gorączki doszło właśnie około roku 1991. Wszak istniał już wtedy sprawnie działający rynek usług związanych ze sprzedażą i instalacją sprzętu do odbioru TV SAT, do którego wykształcenia nie doszłoby z pewnością tak szybko, gdyby nie pionierskie, sięgające jeszcze roku 1983/1984 działania firm w rodzaju spółki Porion.

Warto zresztą zauważyć, że ten żywiołowy i szybki rozwój konkurencji wymusił na Marku Czajkowskim zmianę strategii biznesowej. Kolejny rozdział w dziejach firmy Porion stanowi już bowiem nie telewizja satelitarna indywidualnego odbioru, ale telewizja kablowa. Zaczynając od Żoliborza, firma Czajkowskiego do końca lat 90. „okabluje” niemal całą Warszawę. Co więcej, stworzy nawet dla swych abonentów telewizję lokalną o nazwie Porion TV. Ale to już temat na osobny artykuł. W tym miejscu chciałbym sobie pozwolić tylko na poczynienie kilku komentarzy do niektórych wypowiedzi Marka Czajkowskiego.

Przede wszystkim zwrócić uwagę należy na zjawisko entuzjazmu, jakie telewizja satelitarna wyzwała u Polaków. W liczbach bezwzględnych grono szczęśliwych posiadaczy zestawów do odbioru TV SAT było może niewielkie, ale już zjawisko oglądania tej wolnej od ingerencji czynników państwowych telewizji odbywało się na szerszą skalę. Wszak, o czym wspomina Czajkowski, powszechną praktyką był odbiór zbiorowy. On sam często gościł u siebie znajomych zainteresowanych sygnałem z kosmosu, a nawet – podobnie jak Lubacz – udostępniał go za pomocą

<sup>24</sup> *Inwazja z kosmosu*, „Top” 1987, 25 grudnia, s. 6.

sieci AZART sąsiadom z bloku. W tym sensie, nawet jeżeli władzy za sprawą zezwoleń udało się zniechęcić obywateli do posiadania telewizji satelitarnej, to i tak nie mogła ona do końca wpłynąć na ograniczenie dostępu do jej oglądania. Zresztą wydaje się, że tak naprawdę głównym czynnikiem hamującym upowszechnianie telewizji satelitarnej w Polsce nie były względy natury politycznej lub legislacyjnej, ale ekonomicznej. Po pierwsze, wraz z powstaniem w okolicach roku 1989 dużej liczby nowych firm specjalizujących się w sprzedaży zestawów TV SAT, w warunkach zwiększonej konkurencji ceny tych urządzeń zaczęły spadać. Po drugie, aby przyciągnąć do siebie większą liczbę klientów, importerzy zaczęli sprzedawać odbiorniki i anteny za złotówki. Tym samym dostęp do telewizji satelitarnej stał się możliwy nie tylko dla „prywaciarzy”, ale również dla „zwykłych” obywateli.

Ważne jest także spostrzeżenie Marka Czajkowskiego, w którym wiąże on satelitarny entuzjazm z poczuciem wolności. Jakkolwiek górnolotnie by to nie brzmiało, telewizja satelitarna za sprawą bezpośredniego, niczym niezapśredniczonego kontaktu ze światem Zachodu rzeczywiście dawała poczucie wyrwania się z oków państwa totalitarnego. Na tym zresztą polegała jej przewaga nad wideo, które w hierarchii „wolnościowych” mediów postawiłbym niżej. Potwierdza to zresztą następująca wypowiedź Czajkowskiego:

Przede wszystkim odbierałem Filmnet. To był taki ciekawy program, bo tam chyba w środę takie soft porno leciało. I to była ogromna atrakcja. Już wtedy magnetowidy były i ludzie to sobie oglądali. No ale ja miałem to z kosmosu, więc to była duża atrakcja.

Na pierwszy rzut oka soft porno i wzniosłe słowo „wolność” wydają się gryźć ze sobą. Ale gdy spojrzymy na sprawę z szerszego punktu widzenia, tak jak to widzi chociażby John Fiske czy Michel de Certeau, takie zanurzone w banalnej codzienności praktyki kulturowe mogą posiadać niezwykle silny potencjał wybuchowy<sup>25</sup>. Czego z kolei dawno już dowiódł Marshall McLuhan, medium to nie tylko przekaz, ale i sam przekazańnik. Innymi słowy: w równym stopniu ważna jest treść, którą obieramy, jak i narzędzie, za pomocą którego to robimy. Władza socjalistyczna próbowała upowszechnić wśród Polaków przekonanie, że – oglądając programy pokroju *Bliżej świata* – obcuja z telewizją satelitarną. Tak naprawdę odbierali oni wyłącznie programy nagrane i retransmitowane z telewizji satelitarnej. W tym wypadku nie było mowy o medialnej wolności. Ta stanowiła przywilej wszystkich tych, którzy uzyskali dostęp do bezpośredniego sygnału z kosmosu, nawiązując tym samym formę „elektronicznej teleportacji” na zewnątrz opresyjnego systemu.

Ostatnia sprawa to ów wspomniany przez Czajkowskiego „przypadek” stojący za całą późniejszą działalnością firmy Porion. Owszem, fakt, iż jego wspólnik trafił na targach w Sztokholmie na stoisko z zestawami do odbioru TV SAT, rozpatrywać można w kategoriach szczęśliwego zbiegu okoliczności. Jednak nad tym przypadkiem nadpisany był pewien szerszy układ okoliczności, które uznać należy za

<sup>25</sup> Zob. J. Fiske, *Zrozumieć kulturę popularną*, tłum. K. Sawicka, Kraków 2010; M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, tłum. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2008.



sprzyjające zaistnieniu zjawiska zorganizowanego importu odbiorników TV SAT do Polski. Chodzi tu o kluczowy czynnik zapalny, a więc kontakty zagraniczne. Tylko osoby posiadające znajomości za granicą mogły przyjąć rolę osób wdrażających nową technikę medialną nad Wisłą. Chyba najlepszym na to przykładem jest kolejny bohater mojego artykułu, Zdzisław Żniniewicz, zwany także „Zdzisławem Precyzyjnym” albo „Anteniarzem”.

### Anteniarze

Brzmi to niebywale, ale jest prawdą: w końcówce lat 80. Polska z dnia na dzień wyrosła na europejskiego potentata w zakresie produkcji anten satelitarnych. Ten przedziwny sukces eksportowy był zasługą ekscentrycznego rzemieślnika ze Szczecina, który wcześniej w swym prywatnym zakładzie wytwarzał między innymi plastikowe zapalniczki czy też słynne okulary konferencyjne (używał ich nawet rzecznik prasowy rządu, Jerzy Urban). Punktem przełomowym w działalności Żniniewicza okazały się jednak anteny satelitarne. To właśnie one, jak pisał w roku 1987 reporter „Głosu Szczecińskiego”:

[P]rzyniosły mu sławę, że o pieniądzach nie wspomnę. Pokazane na ubiegłorocznych poznańskich targach zrobiły furorę. Zapachniało wielkim światem. Postęp jest bardzo szybki. Wystarczy spóźnić się miesiąc i wypada się z rynku. Żniniewicz i wszyscy z nim współpracujący nie spóźnili się<sup>26</sup>.

Jednym z tych współpracowników był Adolf Bogacki, który w kolejnych latach, już na własną rękę, produkował równie dużo anten co „Precyzyjny Zdzisław”. To właśnie w oparciu o przeprowadzony z nim wywiad odtworzę w przeważającej mierze historię satelitarnego cudu w Szczecinie. Niestety Zdzisław Żniniewicz, a więc *spiritus movens* antenowego biznesu, zmarł w roku 2007, w związku z czym w artykule tym fragmenty jego prasowych wypowiedzi stanowią tylko uzupełnienie dla opowieści Adolfa Bogackiego. Zaczniemy od wypowiedzi Żniniewicza:

Facet, który ode mnie kupuje okulary mówi mi kiedyś tak: „Słuchaj Dzisiu (dziwnie wymawia moje imię, a nazwiska w ogóle nie próbuje) – mam dla ciebie robotę. Anteny będziesz robił. Satelitarne. Wiesz, trend światowy, jak szybko zaczniesz, będziemy w czołówce”. Namawiał mnie, zachęcał, dwa razy tu przyjeżdżał, a ja nie chciałem o tym słyszeć, bo mi się wtedy okulary dwuogniskowe marzyły<sup>27</sup>.

A jednak, pomimo tej początkowej niechęci do kolejnego w swojej karierze przebranżowienia, Żniniewicz postanowił zaryzykować. Od razu zaczął też zachęcać do współpracy Adolfa Bogackiego, który podobnie jak on posiadał warsztat rzemieślniczy na obrzeżach Szczecina:

<sup>26</sup> K. Matlak, *Sława, pieniądze i...*, „Głos Szczeciński” 1987, 18-19 lipca, s. 6.

<sup>27</sup> A. Dulemba, *Skok na antenę*, „Polityka” 1986, dodatek „Polityka-Eksport-Import”, nr 15, s. 1.

On mi mówi: „Od jutra bierzemy się za anteny”. „Co ty, zwariowałeś, [nie mam] ani pojęcia, ani...”. Ale [on] mówi: „Ja u siebie mam ludzi, którzy policzą matematycznie, jak to powinno być, a nasza sprawa jest, żeby zrobić oprzyrządowanie i żeby produkować”. I tak było. I tak było<sup>28</sup>.

Efekty tego szalonego przedsięwzięcia przerosły oczekiwania wszystkich. Oto jak pierwszy test anten satelitarnych „Made in Poland” opisał w roku 1986 sam Żniniewicz:

Montujemy, szukamy satelity i nagle, cholera! Odbieramy jeden program, drugi, trzeci. Jak „moi” Szwedzi nigdy wódki nie pili, tak tym razem wszyscy chodzili w sztok zalani. Włącznie ze mną. I oni i ja wiedzieliśmy co jest grane: mieliśmy w perspektywie ciężkie miliony koron<sup>29</sup>.

Ten bezgraniczny, podlany sporą ilością alkoholu entuzjazm Szwedów był w pełni zrozumiały. Produkcja anten w Polsce miała jedną, ale za to kluczową zaletę. Jak krótko ujmuje to Bogacki: „[...] było taniej. Taniej, taniej i jeszcze raz taniej”. Bogacki wymienia także główne powody, dla których handel antenami z Polski był za granicą przedsięwzięciem niezwykle opłacalnym. Oprócz robocizny, nad Wisłą zdecydowanie taniej wychodziło wykonanie oprzyrządowania. Poza tym kurs dolara w PRL-u był tak wysoki, że realna cena anten, po jakiej sprzedawano je na Zachodzie, była wielokrotnie większa od tego, co dostawał producent krajowy.

Warto w tym miejscu doprecyzować, że początkowo dwaj rzemieślnicy ze Szczecina produkowali nie tyle anteny, co same lustra. Jak wykazuje Bogacki, całą resztę, a więc cynkowanie kołnierza (tylna część anteny) czy malowanie w lakierniach proszkowych wykonywano w Szwecji<sup>30</sup>. Nie ulega jednak wątpliwości, że stworzenie lustra było najbardziej problematycznym zadaniem. Wymagało bowiem – z jednej strony – wytworzenia formy, z drugiej: opracowania odpowiedniej technologii produkcji. Żniniewicz bardzo przezornie strzegł swoich tajemnic, głównie tych związanych z metodą produkcji formy, bo, jak mówił: „tu mi już z wielkich koncernów ludzie przyjeżdżają, żeby ją poznać”<sup>31</sup>.

Rabka tajemnicy uchyła Adolf Bogacki, żartobliwie dodając, że jeżeli ktoś chciałby dzisiaj zastosować szczecińską technologię, to ma na to jego zgodę. Otóż okazuje się, iż wykonanie tak precyzyjnego instrumentu jak antena satelitarna, zbierająca sygnały spływające z kosmosu z wysokości prawie 36 tysięcy kilometrów, możliwe było przy zastosowaniu metod wręcz chałupniczych:

<sup>28</sup> Przeprowadzony przez autora artykułu wywiad zarejestrowany został dnia 15 września 2015 roku w Szczecinie.

<sup>29</sup> A. Dulemba, dz. cyt.

<sup>30</sup> Co ciekawe, ponieważ w Polsce nie było lakierni proszkowych, anteny, które sprzedawano na rynek krajowy, w ogóle nie były malowane. Naturalny proces utleniania aluminium sprawiał, że antena była wystarczająco matowa, żeby promienie słońca się od niej nie odbijały i nie niszczyły konwertera.

<sup>31</sup> A. Dulemba, dz. cyt.

[...] forma do wytłoczenia lustra była zrobiona z betonu. No poważnie, poważnie (śmiech). Jeszcze jest chyba tutaj u mnie któraś z matryc zrobiona z betonu. Wykonanie lustra parabolicznego nie jest wcale aż takie trudne. Nie budowaliśmy pras. [Lustra] były po prostu tłoczone powietrzem (śmiech).

To był nasz pomysł. Najpierw zrobiliśmy małą antenkę. Próbowaliśmy, czy to tłoczenie pójdzie powietrzem. No jak wyszło małe, to musiało wyjść i duże. Trzeba było [tylko] więcej powietrza (śmiech).

Ujmując rzecz jak najprościej: istniała metalowa konstrukcja, w którą wkładano kawałek aluminiowej blachy, a gdy ta została już przymocowana śrubami, przez specjalny otwór zaczynało wtyłaczać sprężone powietrze. Na skutek działania jego ciśnienia bardzo ciągliwa ze swej natury aluminiowa blacha dochodziła do formy i przyjmowała jej paraboliczny kształt. Ta jakże wymyślna technologia produkcji szczecińskich anten miała oczywiście liczne słabości, z których największą stanowiła betonowa forma. Ale i z nią, zgodnie ze słowami Bogackiego, jakoś sobie radzono: „Jak ubytki były, to dołożyło się betonu (śmiech). Było, jak murarze mówią: lej wodę, syp piach i nie żałuj materiału”.

Oczywiście trudno zakładać, aby wytwarzane w ten sposób anteny mogły dorównać jakością urządzeniom powstającym na Zachodzie. Zresztą sam Bogacki otwarcie wymienia główne słabości swojego produktu:

[...] trzeba uczciwie powiedzieć, że talerz szwedzki był z blachy co najmniej 60-70 procent grubszej. Tamta antena była sztywna taka, a to nasze wiotkie. Dalej tamta antena cała była tłoczona, natomiast u nas wytłoczone było lustro, natomiast kołnierze wzmacniające były w zupełnie inny sposób robione.

Świadomość wszystkich tych słabości polskich produktów mieli także handlujący nimi Szwedzi, dlatego bardzo starannie ukrywali fakt, że oferowane przez nich anteny pochodzą z Polski. Gdy zatem pewnego razu w szwedzkiej prasie ukazał się artykuł o Żninowiczu i jego działalności, Szwedzi popadli w panikę. Tak opowiada o tym Bogacki:

Kurcze... Tam się w tej gazecie w Malmö na dwie strony pojawił artykuł, jak to polski producent anten ze Szczecina... A przecież oni nas uznawali – to się teraz zmieniło – jako dziki kraj. Niedźwiedzie, a nie jakieś tam anteny. [I kontrahenci] jemu przekazali, że jak się jeszcze coś pokaże u nas, że ty robisz dla nas anteny, to zapomnij, że [choć] jedną antenę kupimy od ciebie. No bo kto kupował antenę w Szwecji, no to uważał, że ta antena jest produktem szwedzkim, a nie jakimś tam polskim.

Pomijając wszystkie wymienione wcześniej konstrukcyjne niedociągnięcia, szczecińskim antenom trzeba jednak oddać honor w dwóch punktach: po pierwsze działały, a po drugie wykonywane były ze „szlachetnego” tworzywa, a zatem aluminium. O czym bowiem świadczy wywiad z Markiem Czajkowskim, nie

wszyscy krajowi producenci anten, którzy poszli w ślad za Żniniewiczem i Bogackim, robili talerze „z blachy”. Na przykład jego podwarszawski dostawca stosował do tłoczenia luster żywice epoksydowe:

Mieliśmy takiego producenta, który produkował łodzie z tworzyw sztucznych. Takie kanu. I myśmy przywieźli taką antenę z zagranicy i zlecieliśmy mu zrobienie formy. I on na bazie tej jednej czaszy, którą mu dostarczyliśmy, produkował nam te anteny do tych odbiorników, które myśmy sprowadzali ze Szwecji.

On tych czasz nawet później dość dużo robił. Przestał nawet łódki robić, bo robił dla nas cały czas czasze.

Pozwoliłem sobie poruszyć temat materiału, z jakiego wykonywano w PRL-u anteny satelitarne, nie tylko po to, by dowartościować produkty szczecińskich rzemieślników. Trzeba pamiętać, iż w latach 80. dostęp sektora prywatnego do rynku surowców był poważnie ograniczony. W rezultacie zdobycie aluminium było nie mniejszym wyzwaniem aniżeli budowa matrycy czy wymyślenie technologii produkcji. W początkowym okresie swej działalności Bogacki i Żniniewicz musieli się uciekać do „czarnorynkowych” metod uzyskiwania deficytowego materiału. Z czasem jednak, gdy o polskich antenach satelitarnych zrobiło się głośno, państwo zaczęło spoglądać na szczecińskich rzemieślników bardziej przychylnym okiem. Zakład Adolfa Bogackiego otrzymał nawet pod koniec lat 80. status jednostki innowacyjno-wdrożeniowej. Wynikały z tego wymierne korzyści:

Jak ja miałem tę jednostkę innowacyjno-wdrożeniową, ja mogłem kupować maszyny, mogłem budować obiekty i miałem ulgi (tak zwane ulgi inwestycyjne). Ale te ulgi należały się tylko wtedy, jak płaciłem podatki.

Bogacki nie kryje zresztą sentymentu za tymi dawnymi formami wspierania prywatnej przedsiębiorczości przez państwo:

Wbrew pozorom, jak się dzisiaj uważa, że to wszystko, co w dawnych czasach, co za tej tak zwanej komuny było takie złe, to wcale tak nie jest. Bo też byli ludzie mądrzy. Chociażby na przykładzie tych jednostek innowacyjno-wdrożeniowych [to widać]. [...] To była ustawa rządowa na to.

Robiło się robotę. Ludzie mieli zatrudnienie. W przypadku eksportu wpływały dewizy. No dlaczego nie pomóc temu... Nie weźmiemy podatku, jak on coś wybuduje.

Oczywiście można się spierać o to, czy rzeczywiście tego rodzaju inicjatywy gospodarcze rządu schyłkowego PRL-u były efektywne, czy też dobre wspomnienia Bogackiego o jednostkach innowacyjno-wdrożeniowych funkcjonują na zasadzie sentymentu za dawnym państwem opiekuńczym, które stara się maksymalnie regulować rynek. Jak dowodzi Dariusz T. Grala:

Reżim w latach osiemdziesiątych, wdrażając projekt reformy gospodarczej, usiłował usprawnić sektor państwowy [...]. Tymczasem dużą dynamikę

wzrostu tak pod względem liczby jednostek gospodarczych, zatrudnienia i sprzedaży wykazywały przedsiębiorstwa prywatne, a nie zakłady państwowe. Sytuacja taka nie podobała się wielu działaczom wyższego szczebla PZPR, w związku z czym w praktyce gospodarczej stosowano wiele barier rozwoju sektora nieuspołecznionego<sup>32</sup>.

Warto także przypomnieć, iż pod koniec lat 80. na łamach prasy dochodzi do krytyki jednostek innowacyjno-wdrożeniowych. Magda Sowińska w swym artykule *Pod górkę* zauważa, że:

po dwóch latach istnienia ustawy o jednostkach innowacyjnych straciła ona praktycznie rację bytu. Przedstawiciele jednostek już od początku tego roku zastanawiają się na czym właściwie polegają preferencje, którymi ponoć – w intencji ustawodawcy – są objęci. Nowe rozwiązania, które funkcjonują w naszej gospodarce, zwłaszcza te od stycznia 1989 roku, gwarantują wszystkim przedsiębiorstwom warunki korzystniejsze, a co najmniej porównywalne z tymi, jakie zapisano w ustawie o jednostkach innowacyjnych<sup>33</sup>.

Wydaje się raczej, że sukces anteniarzom ze Szczecina, podobnie jak wcześniej importerom, zapewniło wykorzystanie pewnej luki w systemie gospodarki planowej. W tym wypadku chodziłoby nie tylko o dostarczanie produktu, który znajdował się poza zasięgiem przedsiębiorstw państwowych, ale w ogóle o sam fakt przetwarzania surowca, jakim było aluminium, i sprzedaży go w postaci anteny satelitarnej za wyższą cenę. Na co wskazują liczne artykuły prasowe z końca lat 80., krajowy eksport miał charakter iście patologiczny. Prym na rynkach zagranicznych wiodły bowiem wyłącznie zakłady zajmujące się wydobyciem surowców naturalnych (na przykład kopalnie węgla i siarki), ewentualnie ich wstępną obróbką (huty). Nikt natomiast nie przywiązywał wagi do rozwoju zakładów przetwarzających surowce na konkretne produkty. Oczywiście taka strategia eksportowa gwarantowała bezpośredni zysk bez konieczności ponoszenia kosztów inwestycyjnych w zapóźnioną technologicznie branżę przemysłową. Z drugiej jednak strony, na skutek tej ekonomicznej krótkowzroczności państwo ponosiło ogromne straty, albowiem surowiec jest zawsze kilkakrotnie tańszy aniżeli wytworzony na jego bazie konkretny produkt<sup>34</sup>. Anteniarze ze Szczecina ewidentnie szli pod prąd tej nieudolnej strategii eksportowej PRL-u, co przyczyniło się do ich sukcesu.

Na koniec warto także dodać, że Żniniewicz posiadał niezwykle zdolności marketingowe, które w równym stopniu jak za granicą wykorzystywał w kraju. W przywołanej na samym wstępie relacji reportera „Głosu Szczecińskiego” pojawia się informacja o furorze, jaką anteny Żniniewicza wywołały na Targach Poznańskich. Jak wynika z relacji Adolfa Bogackiego, do satelitarnego stoiska pchały się tłumy:

<sup>32</sup> D.T. Grala, dz. cyt., s. 268.

<sup>33</sup> M. Sowińska, *Pod górkę*, „Top” 1989, 13 października, s. 13.

<sup>34</sup> Zob. J. Baczyński, *Przeciąganie kabla*, „Polityka” 1986, dodatek „Polityka-Eksport-Import”, nr 8, s. 4.

To był chyba 1986 rok, Targi Poznańskie. Najbardziej oblegane stanowisko w ogóle – dział telewizji satelitarnej. Była taka Walasiakówna, kilka tych dziewczyn – miss Polski. Także atrakcje były przednie. Można było patrzeć na ekran. Co tam szło: bez przerwy ta muzyka zachodnia. Dwa czy trzy telewizory. Z tego, co pamiętam, to było w przyczepie kempingowej na terenie targów to stoisko.

To, co się działo... Ja pamiętam, wracaliśmy z urlopu z żoną przez Poznań. No to mówię, chodź, wstąpimy na te targi. Kurcze. Młodzieży. Oblepiona wkoło. Kto tam mógł [coś] dojrzeć.

Zresztą nie tylko Poznań uzyskał możliwość zasmakowania w urokach telewizji satelitarnej. O czym donosi czasopismo „Ekran”, w tym samym roku Żniniewicz ze swoim objazdowym stoiskiem TV SAT dotarł do Warszawy<sup>35</sup>. Tak tamto wydarzenie wspomina Marek Czajkowski: „Ja na tym pokazie byłem. Widziałem to, co on tam zrobił. No to był taki pokaz przed Pałacem Kultury. I tam sobie mógł każdy podejść i zobaczyć. On tam pokazywał, co to jest”.

Bez wątpienia te innowacyjne jak na ówczesne czasy działania marketingowe w dużym stopniu przyczyniły się do upowszechnienia wśród Polaków świadomości istnienia fenomenu telewizji satelitarnej i tym samym kładły podwaliny pod późniejszy rynek sprzedaży anten. A ten bardzo szybko się rozrósł, o czym dobitnie świadczą następujące słowa Adolfa Bogackiego: „Było ogromne zapotrzebowanie na Polskę, Ukrainę, Białoruś, Niemcy”. W kraju najważniejszymi klientami dla szczecińskich anteniarzy byli instalatorzy, tacy jak Jerzy Lubacz, który zaopatrywał się w anteny właśnie u Bogackiego. Oczywiście przy tak chłonnym rynku bardzo szybko pojawili się nowi producenci anten. Jak twierdzi Bogacki, na początku lat 90. dużo talerzy wytwarzano na Podkarpaciu i w Warszawie.

Podobnie zatem jak w przypadku importerów elektronicznych komponentów do zestawów TV SAT, także sektor produkcji anten był u zarania III RP w pełni uformowany. Pozostawało już tylko tłoczyć blachę i wprowadzać kolejne udoskonalenia. Dla przykładu Adolf Bogacki na przestrzeni kilku lat opatentował wiele nowych rozwiązań w zakresie mocowania anten, a także około roku 1995 wszedł w posiadanie własnej lakierni proszkowej.

\*\*\*

Dzisiaj, kiedy czasy satelitarnej gorączki mamy dawno za sobą, a dostęp do coraz to nowszych mediów umożliwiających niczym nieskrępowaną komunikację uznawany jest niemalże za jedno z gwarantowanych praw obywatelskich, przedstawione w tym artykule historie pionierów polskiego rynku TV SAT nabierają posmaku baśniowych legend o rycerzach zmagających się ze smokami, a jeszcze częściej z wiatrakami. Dlatego też warto nieustannie spoglądać

<sup>35</sup> *Telewizja satelitarna ruszyła...*, „Ekran” 1987, nr 24, s. 14-15.

w przeszłość wykraczającą poza rok 1989, a tym samym, jak słusznie zauważa Kurczewski, reinterpretować terażniejszość. Także transformacja może ulec transformacji.

*Tekst powstał w ramach projektu badawczego Nowe Media PRL. Projekt został sfinansowany ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych na podstawie decyzji numer DEC-2012/07/B/HS2/00419.*

### **Boxes, dishes and the country's transformation. The early days of satellite television in Poland**

This article describes the expansion of satellite television within the context of the socialist system. In the first part of the study, the broader technical and political background of the process have been characterized. In the second part, which is mainly based on interviews conducted with satellite TV equipment dealers and satellite dish manufacturers, the author explores the ways in which the medium was adopted by Poles in the 1980s.